ROZMAITOŚCI.

Dnia 20. Stycznia — Nr. 3. — Roku 1844.

AMMALAT BEG.

(Ciąg dalszy.)

V.

PUŁKOWNIK WERCHOWSKI.

Pułk Werchowskiego miał przybyć do Derbendu dla przepędzenia tamże zimy. Jenerał Alexy Petrowicz Jermolow był właśnie wraz z całym sztabem na herbacie u pułkownika kiedy wszedł oficér od kozaków i przyniósł depesze. Jenerał przeczytawszy pismo, rzekł do zgromadzonych oficérów: »Pułkownik K* pobił górali; te niepoprawione łotry napadli i zrabowali wieś po lewéj stronie rzéki Terek. Nasz dzielny 43. pułk uderzył na nich i w pień ich wyciął.«

To rzekłszy, rozkazał natychmiast stawić przed sobą pięciu jeńców, których do Derbendu przyprowadzono. Gdy się jenerała woli zadość stało, zmarszczył czoło i przystąpiwszy do jeńców, rzekł do nich w gniewie: »Podli! Trzykroć przysięgaliście zaniechać rabunku i trzykroć złamaliście waszę przysięgę.... Natychmiast obwiesić ich na ich własnych pasach!« zawołał do oficéra służbowego. »Tylko jeden z nich pozostanie przy życiu: aby zaniósł godnym braciom swoim tę wiadomość: że wkrótce na nich jak piorun spadnę! — abym ich nauczył, co winni Rosyjanom i przysięgom swoim.«

Odprowadzono Kabardyńców; piąty, młody 25letni, rzadkiéj piękności jeniec, pozostał, a przystąpiwszy do jenerała, ruszył cokolwiek czapki, i pochyliwszy z-lekka głowę, przybrał znowu twarz zimną i obojętną. Jenerał wpatrzył się w niego surowym wzrokiem, lecz młody jeniec nie zmieniwszy wyrazu twarzy, zwarł się śmiało z wyzywającém jego spojrzeniem.

»Ammalacie Beg,« rzekł jenerał po krótkiéj chwili milczenia. »A wiesz-że ty o tém, że jesteś poddanym cesarza i żeś winien posłuszeństwo ustawom rosyjskim?«

»Jakże można zapomnieć o łańcuchach, kiedy ciągle złowrogim dzwonią jękiem?« odparł Beg z goryczą. »Gdyby pod osłoną ustaw waszych, prawa moje były się ostały, gdyby mi nie wydarto dziedzictwa ojców moich, gdybym nie był z boleścią ujrzał, że cześć moję dla świętych zwyczajów pra-ojców moich, głową mi przepłacić przyjdzie — wtedybym przeciw Rosyjanom nie był podniósł broni mojéj.«

»Niewdzięczniku!« zawołał jenerał. »Ty, i twój ojciec przysięgliście zemstę Rosyjanom. Pod panowaniem Persów, już za te same zniewagę, krewby waszę przelano, kości wasze bieliłyby się po jamach szakalów. A jakże z wami postąpił Cesarz? Miasto śmierci dał wam rozległe ziemie. Takżeto odwdzięczasz się za monarszą łaskę! W dom twój przyjmujesz najzacietszego wroga Rosyi, w twoich ścianach i w twoich oczach pada oficér rosyjski przeszyty zdradzieckim ciosem Achmeda Khana; ale nie dość na tém; miasto, abyś się był upokorzył i błagał o przebaczenie, uchodzisz z mordercą, stajesz się narzędziem jego zemsty, i zbrojną ręką nachodzisz nasze granice. Wiesz-że, jaki cię los czeka?«

»Wiém... kula,« odrzekł obojętnie młodzieniec.

»Na rabusia — jest szubienica... ginąć od kuli, jestto śmiérć zaszczytna,« odpowiedział jenerał.

»Mniejsza oto, jak umiérać, byle tylko prędko.«

»Jutro stanie się zadość życzeniu twemu!«

Na skinienie jenerała, odprowadzono jeńca.

Piękność, młodość i szlachetna odwaga Ammalata Bega, zrobiły silne wrażenie na wszystkich oficérach, jednakże wszyscy uczuli, że téj podwójnéj zdrady, nie dawszy góralom pochopu do nowego powstania, przebaczyć mu nie można, gdyż sama tylko bojaźń zdołała jeszcze rozbójnicze tego górskiego ludu wstrzymywać zapędy. — Jenerał był przez cały wieczór milczący i oddalił się prędzéj niż zwykle. Wkrótce rozeszło się całe towarzystwo. Werchowski sam na sam zostawszy, oddał się myślom, jakie w nim młody Beg obudził.

»Nie, nie dopuszczę do tego, aby ten młody człowiek tak haniebną śmiercią umiérał. Wina jego jest wprawdzie wielka, alež on jest synem

Azyi, a mężowie z-pod tego skwarnego nieba, sąto dzieci, które się wichrzącéj namiętności na ślepo unosić dają; ja go ocalić muszę; sam jenerał nie zdawał się być przeciw niemu, smutek widziałem na jego twarzy, on się da przebłagać; nie chcę na mojéj duszy mieć ciężaru zarzutu, żem nie chciał wstrzymać miecza, który zawisł nad głową tego szlachetnego młodziana.«

Jakoż w saméj istocie udał się pułkownik do jenerała. Jermołow siedział z opartą głową na ręku, a przed nim leżał na pół ukończony raport do Cesarza. — Po jednogodzinnéj przeszło z jenerałem rozmowie, pospieszył pułkownik do namiotu, który był potrójną strażą obstawiony. Młody Beg leżał na słomie burką owinięty, dusza jego goniła myślami za obrazem Seltanetty, widział jéj anielską twarz smutkiem wybladłą, słyszał straszliwsze nad śmierć samę słowa wiecznego rozstania, a duże łzy, te odwieczne świadki naszych ciérpień w niedoli, zabiegły mu powieki i drżały na rzęsach, jak gwiazdy w noc pogodną na błękitnym niebie.

»Ammalacie!« zawołał Werchowski nie postrzeżony od zadumanego młodzieńca. »Prorok jest wielki, a Sardar miłosierny! On cię obdarza życiem.«

Na te słowa porwał się młody Beg z ziemi, chciał przemówić, lecz słowa skonały mu na otwartych ustach. Po krótkiéj chwili osłupiałego zadziwienia, spuścił głowę, a czarna, jakby gradowa chmura, zatoczyła się na czoło jego ponurość, a potém rzekł: »O, pojmuję ja spaniałomyślność waszę! Zamknąć człowieka w ciasnéj ciemnicy bez światła i powietrza, wysłać go na wieczną zimę i oddać wiecznéj nocy, zakopać go w wnętrznościach ziemi, zakazać mu przemówić do podobnéj sobie istoty, i zabrać mu z przed oczu wszystko, wszystko, oprócz pamięci, że jest świat inny, oddychający powietrzem, radujący się blaskiem gwiazd i słońca— i toż nazywacie ułaskawieniem, nadmiarem szczodréj łaski! ? Oświadcz jenerałowi, że nie przyjmuję jego spaniałomyślności, że wolę śmierć niż takie życie!«

»Jesteś w błędzie,« przerwał mu pułkownik. »Wszystko puszczono w niepamięć. Jesteś panem swojéj woli. Oto twój oręż, twoje posiadłości są znowu twojémi; jenerał jest przekonany, że już odtąd przeciw Rosyjanom nie dobędziesz broni. Zostaniesz z nami dopóty, aż całe to zdarzenie w niepamięć pójdzie.«

Ammalat Beg do łez wzruszony, zawołał z rozrzewnieniem: »Teraz jestem przez Rosyjan pokonany! Nie umiałem ich poznać — wielką im wyrządziłem krzywdę! »To rzekłszy uchwycił oburącz za szablę, i wpatrzywszy się w nię, rzekł ze łzami w oczach: »O, szablo moja, wierny towarzyszu mój! Oby te łzy moje zmyły z ciebie krew rosyjską!«

VI.

ZEJŚCIE SIĘ NIESPODZIANE.

Już mijało sześć miesięcy od czasu, jak Ammalat zostawał w Derbendzie w towarzystwie rosyjskich oficérów. Jego przenikający rozum, jego żywa, gorąca wyobraźność, jego myśli w śmiałe przenośnie ubiérane, zajmowały mocno synów północy, szukano chętnie towarzystwa młodego Bega, starano się wszelkiémi sposoby okazania mu szczéréj życzliwości. Lecz wdzięczność z jego strony nie szła z pełni gorącego serca; był on wdzięcznym, ale przez same tylko powinność. Ponura tęsknota zaległa duszę kochanka Seltanetty; myśląc o niéj, przeklinał życie, które darowano mu, złorzeczył obowiązkom, dla których swoje kochankę poświęcić musiał, gdyż jego wierny Sapher Ali, wysłany do Awaru, przywiózł mu wiadomość: że śnieg boleści spadł na serce Seltanetty, i że Khan zaklął się przysięgą uroczystą: iż córka jego nie będzie nigdy żoną sprzymierzeńca Rosyi.

Pewnego dnia, pułkownik Werchowski i Ammalat Beg opuścili Derbend, dla zrobienia wycieczki w okolice tegoż miasta. Wziąwszy się ku zachodowi, wjechali w parowy, które się między górami ciągną. Témi wądoły dostali się do wsi Kalik, po-przed którą ciągną się długie mury wzniesione w dawnych czasach dla zasłony Persyi od napadów plemion po tamtéj stronie Kaukazu. Wieści gminne Derbendu niosą: że to olbrzymie przedmurze założył *Iskender* (Alexander Wielki), lecz wieści te są płonne, gdyż macedoński bohatér nigdy w tych miejscach nie był. Bądź co bądź, to pewna, że te niepożyte wiekami masy kamiennych murów, w równéj odległości najeżone wieżami, rozciągały się nieprzerwanym łańcuchem od morza Kaspijskiego aż po Mingreliję, już wspinając się po ostro ściętych, stromych skałach, już znowu spuszczając się w najgłębsze przepaści. Ani czas, ani ludzie, ani zdziczałe żywioły nie zdołały téj olbrzymiéj budowy zniszczyć do szczętu. Na wielu miejscach stérczą jeszcze wieżyce, orły gnieżdżą się po ich rozpadlinach i lukach, powiérzchnia murów porosła lasami, na których rozkrzewienie wiatr pozanosił różno-rodne ziarna, a które z czasem zapuściwszy swoje korzenie w szczeliny, porozsadzały zjęte masy skaliste; niejeden wszakże kamień spoczywa jeszcze na tém samém miejscu, gdzie go ręka ro-

botnika złożyła. Ammalat i pułkownik jechali długo wzdłuż tych rozległych ruin, aż obaczywszy bramę sklepioną, puścili się przez nią na drugą stronę. Lecz zaledwie dwadzieścia ujechali kroków, spostrzegają nagle za ogromną wieżą sześciu uzbrojonych górali leżących w trawie obok koni, które się na murawie pasły. Teraz dopiéro poznał pułkownik nieroztropność swoje, że się tak daleko bez żadnego przybocznego pocztu zapędził. O ucieczce ani można było pomyślić, wdanie się zaś w walkę z sześcią góralami, niechybną groziło śmiercią. Wszelako chwycił pułkownik za pistolet, lecz Ammalat postrzegłszy to, spiesznym zawołał głosem: »Jesteśmy zgubieni, jeźli się tylko twojéj broni dotkniesz!«

Na widok obudwu jeźdców chwycili górale za strzelby, lecz silny Lesgijczyk, który się ani podniósł z trawy, i tylko leniwo obejrzał po-za siebie, dał im skinienie, aby dali pokój. Poczém otoczyli jeźdców, a ich ataman podniósłszy się, stanął przed nimi, i przemówił z uśmiéchem, który oznaczał: *kulę w potrzebie.* »Moi zacni goście, raczcież z-siąść z koni.«

Pułkownik nie był w jego wolę, lecz Ammalat Beg ujrzawszy to, skoczył raźno z konia i przystąpił do atamana.

»Bądź pozdrowion, Sorwi Gołowa! Nie spodziéwałem się ciebie tu ujrzéć, myślałem, że cię już dawno szatan zabrał.«

»Co ja widzę?.... Ammalacie Beg!« odrzekł góral. »Jeszcze mię szatan nie zabrał, i spodziéwam się, że niejednego jeszcze orła trupem rosyjskim nakarmię, nie licząc w to Tatarów, którym pieniądze są droższe, niż ich ojczyzna.«

»Słusznie mówisz. Cóż tu u was dobrego słychać? Czy szczęście wam sprzyja?« zapytał Beg wesoło.

»Nie najlepiéj idzie. Rosyjanie mają węch lisa, trudno ich podejść, rzadko kiedy ich trzoda rejmentowa wpada w nasze ręce, a jeźli kiedy dwóch żołnierzy waszego cara spolować nam się powiedzie, wtedy już uderzamy w surmę radości. Oto, i dziś myślałem, że przyjdzie mi się włóczyć nadaremnie jak zgłodniałemu wilkowi przez dzień cały, ale przecież dobrotliwy Ałłah nagania nam w połów bogatego Bega i rosyjskiego pułkownika.«

Słowa te brzmiały nie bardzo pociesznie, lecz Ammalat nie zmieniwszy twarzy, rzekł wesoło do atamana: »Nie sprzedaj sokoła, dopóki w powietrzu lata; czekaj, aż go miéć będziesz w ręku.«

Rozbójnik usiadł wygodnie na trawie, położył wielki palec na kurek pistoletu, i patrzył swoim gościom ostro w oczy, a po chwili rzekł z urąganiem: »Sądziszże Ammalacie, że się wymkniesz z rąk moich? albo że będzieszże tak zuchwały bronią w ręku z nami się mierzyć?«

»Nie myśl o tém; jesteśmy w waszéj mocy, dwóch przeciw sześciom, walka szalona. Nie podniesiemy broni, chybaby warunki naszego okupu przechodziły wszelką możność naszę. Wiész, że równie ja, jak i półkownik nie mamy ojca ni matki.«

»Jeźli nié masz ojca, masz przecież po nim dziedzictwo; jestem wyrozumiały; jeźli nié masz dukatów, przyjmę twoje owce. Że pułkownik nié ma rodziny, mniejsza, to mnie mało troszcze, wiém dobrze, że cały jego pułk gotów oddać mi wszystkie guziki od mundurów swoich że wolność jego... jam przecież nie Żyd, ani zwiérz drapieżny, Boże odpuść, dla tego bądźcie bez obawy.«

»Mówisz, jak na rozsądnego człowieka przystało... daj się nam czém posilić, a my zachowamy się spokojnie i zapomniemy o ucieczce.«

»Chcę temu wierzyć i cieszę się, żeśmy się bez wszelkiéj zgodzili zwady... »Ale takieś mi wyładniał Ammalacie, że nie mogę zdjąć oka z ciebie; dziarski z ciebie chłopiec, wymężniałeś mi jak lew młody... Dajże mi twój sztylet do obejrzenia. Na proroka, widzę na nim znak *Kubatszyna.*«

»Nie, to nie jest znak Kubatszyna, ale znak Kizliara,« odrzekł Ammalat wyciągając sztylet z-za pasa. »Patrz, jaka stal! przecina goźdź jak świécę łojową a tu na boku jest napis rękodzielnika, czytaj sam: *Aliusta Koza Niszdżekoi.*«

To mówiąc, przybliżył atamanowi sztylet przed oczy, a gdy ten się przygiął, aby napis odczytał, stal błysnęła w słońcu, a ostrze sztyletu utonęło aż po rękojęć w grzbiecie Lesgijczyka, który ani ziéwnąwszy przeciągnął się po ziemi. Pułkownik, który pilném okiem na każdy ruch Ammalata uważał, korzystając z téj chwili, daje ognia z pistoletu i rani stojącego tuż przy atamanie rabusia, Ammalat Beg porywa za strzelbę, która z rąk trupa wypadła, i ugadza kulą w piersi drugiego górala. Trzéj pozostali rabusie umykają co tchu, nawet o swoich koniach zapominając.

»Jesteśmy zwycięzcami; plac pobojowiska do nas należy,« rzekł Ammalat. »Patrz, jak szybko uciekają! Znam ich. Góral jest bitnym tylko w obecności swego naczelnika.«

Gdy pułkownik Werchowski chciał na to odpowiedziéć, w téjże chwili zachyrczał boleśnie, ugodzony przez niego góral, który podniósłszy z wielkim trudem głowę, błagał obu jeźdców, aby go nie zostawili na pastwę dzikim zwiérzętom. Beg przystąpiwszy bliżéj ku niemu, po-

znał w nim z zadziwieniem jednego z nukierów Achmeda sułtana.

»Co widzę? Tyżeśto, i w tych miejscach?« zawołał zdziwionym głosem.

»Szatan mię skusił,« zajęczał raniony, »Khan posłał mię z pismem do wsi Kemek, do sławnego Hakim (lékarza) Ibrahima z poleceniem, abym przywiózł ziele, które wszystkie choroby léczy. Na moje nieszczęście zdybuję się w drodze z Szermadonem, który mówi do mnie: »»Pójdź ze mną. Kupiec Ormianin wiezie z sobą wiele złota w trzosie, wiém gdzie go zejdziemy. Dobra część będzie twoją.«« Nie mógłem się oprzéć, złoto świéciło mi nagabnie — a teraz Ałłah zabrał mi duszę!«

»Khan wysłał cię za lékarstwem, któż u was chory?«

»Seltanetta, nasza Khanum, już dogorywa. Oto list, z niego się dowiécie.« To mówiąc, podał Begowi srébrną rurkę, a w niéj papiér w trąbkę zwinięty.

Zaledwie Ammalat rzucił spojrzeniem na to pismo, bladość okryła jego lice, dreszcz wstrzęsła jego członkami, oczy patrzyły niemym przestrachem.

»Już trzy nocy — już trzy nocy, a sen nie zwidza jéj powiek, gorączka gada jéj ustami! Róża Awaru więdnie — a ja tu bawię spokojny, bawię, gdy dusza mojéj duszy, chce tę ziemię opuścić! O, przyjacielu,« rzekł do pułkownika, wziąwszy go za rękę, »nie wzbraniaj, pozwól, niech jadę, niech lecę, niech ją raz jeszcze obaczę!«

»Kogo?« zapytał Werchowski, dla którego miłość Ammalata była dotąd tajemnicą.

»Seltanetta, córka Khana Awaru, którę więcéj niż życie kocham, umiéra, może już umarła, a ja tu czas mitręże próżnémi słowy!«

»O, spiesz więc przyjacielu,« odrzekł pułkownik, »spiesz, dokąd cię serce wzywa. Oby twoja obecność była jéj uzdrowieniem! Szczęśliwéj drogi Ammalacie.«

VII.

NAJLEPSZE LÉKARSTWO.

Ammalat dosiadłszy konia, wziąwszy przed siebie rannego nukiera, pognał do wsi Kemak. Tam oddawszy rannego opiece Hakima, wziąwszy ziele, którego Khan żądał, przybiéra 4 nukierów, i puszcza się z nimi najspieszniéj w drogę. Dwa konie padają pod nim i trzech towarzyszy pozostawia w drodze. Drugiego dnia wieczorem dopada wsi Khunzagh, przemyka jakby mara przez kręte ulice, pędzi jak wichr na wzgórze ku mieszkaniu Khana, wpada na podwórze, zeskakuje z konia, roztrąca służbę w przedsieni, bieży ku podwojom wiodącym do komnaty kochanki, nie zważa na jéj ojca i matkę — i pada wysilony przy łożu Seltanetty.

Seltanetta, nad którą już śmierć rozpięła skrzydła swoje, zaczęła jakby z głębokiego snu się przebudzać; jéj blade jak śnieg lice, zaczęło podchodzić lekkim cieniem rumieńca, ostatnia skra życia roztliła się w jéj oczach. Na głos rozpaczy Ammalata zdawała się powracać jéj dusza, która już uleciéć chciała. Chora wyciągnąwszy przed siebie omdlałe ramiona, cichym, jak szmer liścia szepnęła głosem: »Tyżeśto? Ałłah niech będzie pochwalon! Teraz szczęśliwą jestem.«

Błogi uśmiéch zarysował się w około bladych ust Seltanetty, oczy jéj zamknęły się, i znowu zatonęła w dawną bezprzytomność.

Młody Beg wpatrzony okiem rozpaczy w twarz kochanki, nic nie widział, nic nie słyszał wokoło siebie; syn Kaukazu, syn ojczyzny granitów, płakał jak słaba niewiasta, jak dziécię; w rozdźwięk rozprzęgły się zmysły jego: to się modlił do proroka, aby mu Seltanettę przy życiu zachował, to złorzeczył niebu najokropniejszémi słowy. Nie zważał ani na rady Khana, ani na pociechę żony jego. Przemocą wyniesiono go z komnaty umiérającéj dziewicy. Jednakże zjawienie się młodego Bega w chwili rozstrzygającéj śmierć lub życie, miało skuteczny wpływ na chorą Seltanettę. Głos kochanka okazał się najlepszém lékarstwem. Głęboka, trawiąca tęsknota wysuszała źródło życia kochającéj dziewczyny, sama pragnęła umrzéć, lecz Ammalat zjawia się, budzi ją do życia, młodość odnosi zwycięztwo... Po długim spokojnym śnie, córka Khana odzyskuje siły, jakby nowe życie rozlało się po jéj żyłach.

Nazajutrz, sam wprowadził Achmed młodego Bega do komnaty choréj, która chociaż o jego przybyciu uprzedzona, zadrzała jednak ujrzawszy tego, którego całym ogniem duszy kochała. Po długiém niewidzeniu znowu się spotkały ich źrenice; Ammalat spojrzeniem pobożnego pielgrzyma, które się do Mekki zwraca, utonał w oku kochanki, która zdawała się mówić: »Teraz jestem szczęśliwą, bo cię widzę; nie uskarzam się, chociaż wiele — wiele dla ciebie i przez ciebie cierpiałam!«

Z każdym dniem blade lice Seltanetty zaczęło przykwitać coraz żywszym rumieńcem, a w niedługim czasie, za powrotem zdrowia córki Khana, wróciła w dóm dawna spokojność i wesołość. Khan nie ustawał wypytywać się o bitwach Rosyjan, Khanska o zwyczajach i ubiorach ich kobiét. Mile płynęły młodemu Begowi

godziny śród czułych pieszczot z kochanką, lecz nieraz smutek osiadał lice jego; nieraz śród najweselszéj rozmowy wydzierało mu się westchnienie z piersi; często łzą zapłynęło mu oko, często zrywał się i chwytał za sztylet, lecz w téjże chwili zapadał znowu w senne zadumania.

Razu jednego, gdy się takiemuż oddawał smutkowi, zeszła go Seltanetta i położywszy mu rączkę na ramieniu, cichym szepnęła głosem: »Kochanku, jesteś smutny, czy mię już nie kochasz?«

»Nie szydź z nieszczęśliwego, który cię więcéj niż swoje życie kocha! Ileż nie ucierpiałem, kiedym się tak długo nie ogrzewał przy słońcu twego spojrzenia, a teraz, kiedy pomnę, że moja droga wiecznym odskokiem od twojéj bieży, roztopiony ołów' płynie w moich żyłach; dawna, już zabliźniona rana, nanowo się boleśnie rozdziéra! Wolałbym dziesięćkrotną umrzéć śmiercią, niż się raz z tobą rozstawać!«

»Jako, chceszże mię opuścić?«

»Nie budź boleści mojéj wątpliwością twoją! Aż do téj chwili życie twoje było życiem motyla, przy uśmiéchu słońca rozkwitałaś jak róża. Twoją powinnością były twoje życzenia. Ale inne mężczyzny przeznaczenie! Jam przykuty do łańcucha, którego mi zerwać nie wolno, jestto łańcuch wdzięczności, który mię przemocą ciągnie do Derbendu.«

»Powinność, wdzięczność, przeznaczenie! Pięknych słów wyszukujesz, abyś twoję niechęć pozostania z nami ubarwił,« łzawym przemówiła głosem dziewica. »Czyż nie oddałeś piérwéj twego serca miłości, niż uczuciu przyjaźni? Zapomniéj o twoich przyjaciołach w obcéj ziemi, zapomnij o mieście Derbend, zapomniéj o wojnie. Od téj chwili, jakem twoję drogą krew z ran upływającą ujrzała, odtąd brzydzę się wojną. Czegoż nam tu do naszego szczęścia nie dostaje? Dach nasz zasłoni nas przed dészczem, własne pola dostarczają nam chleba, mój ojciec ma broń, konie i złoto, a moje serce — płonie dla ciebie niewygasłą miłością. O, powiédz mi kochanku méj duszy, zapewń mnie, że nas nie opuścisz.«

»O, Seltanetto, mnie woła ztąd święta powinność! Żyć dla ciebie, nieść za ciebie życie moje, będzie zawsze jedyném mojém życzeniem, lecz świętych węzłów wdzięczności ku Rosyjan zerwać mi niewolno, a ojciec twój, który się nigdy z nimi nie pojedna, nie zezwoli na związki nasze!«

»Mój ojciec nieugięty!« smutno i z westchnieniem zawołała dziéwczyna. »Ty znasz jego nienawiść ku Rosyjanom.«

Nieraz mówiłem z nim o naszéj miłości, o naszych życzeniach, ale zawsze odbiérałem w odpowiedź te słowa: »Przysięgnij mi, że będziesz wrogiem Rosyjan, a wtedy wysłucham twojéj prośby.«

O, ratuj nas, wielki proroku! Mamyż się rozstać z wszelką nadzieją!«

»Rozstać się z nadzieją? Raczéj z twoją ojczyzną, i okolicami Awaru.«

»Nie rozumię cię.«

»Kochaj mię więcéj niż wszystko na świecie, więcéj, niż ojca, matkę, ojczysnę, a wtedy mię zrozumiész. Ja bez ciebie żyć nie mogę, a mnie nie wolno zostać przy tobie; uchodźmy więc z tych miejsc, uchodźmy w inne strony; miłość niech nas weźmie w swoję opiekę, miłość niech nam przewodniczy!«

»Uchodzić? Córka Khana, miałaby uchodzić jak niewolnica, jak zbrodniarka? Mamże ściągnąć na siebie przekleństwo ojca, mamże matce mojéj krwawe łzy z oczu wycisnąć? O, nigdy, przenigdy, to byłoby okropnie, nieludzko, szkaradnie!«

»Cóż się ze mną stanie!«

»Ojciec mój nigdyby nam nie przebaczył!«

»Miłość ukoi z czasem gniew jego, serce jego nie jest kamienne...«

»Ach, Ammalacie!« zawołała dziéwczyna łzami się zaléwając, »To, czego odemnie żądasz. jest nad moje siły! Jeźli mię kochasz, nie mówmy nigdy o tém.«

Odtąd smutek zaległ Seltanetty serce. Ammalat zamknąwszy boleść w głąb piersi, nie nalégał już więcéj. Lecz któż zwalczy potęgę miłości! Córka Khana, chociaż nią w piérwszéj chwili oburzenie miotało, ujrzawszy głęboki smutek kochanka, zapomniała o sobie, o matce, ojcu, o wszytkiém!

Jednego dnia z zapłakaném licem rzekła smutnym głosem: »Już ci jestem obojętną! Już mię wydarłeś z twego serca nazwsze!«

»O nie, pannjesz w niém, i wiecznie panować będziesz, ale tyś moje nadzieję srogo zawiodła, tyś zadała śmierć temu, który żył tylko dla ciebie!«

»Nie masz więc już dla mnie przebaczenia?« To mówiąc, pochyliła się w ramiona kochanka. Młody Beg widząc jéj rozczulenie, ponawiał wymownym głosem swoje prośby, aby bez wiedzy rodziców dzieliła z nim pielgrzymkę życia. Seltanetta zakrywszy twarz obiema rękoma, słuchała milcząc słów jego, a gdy skończył, podniosła głowę, otarła łzy z oczu i stałym rzekła głosem: »O, nigdy nie zaślepi mię miłość tak dalece, abym nie wiedziała, com memu sumieniu winna! Wiém, że na córce uciekającéj

z domu rodzicielskiego, ciężko leży gniew proroka, wiém to, a przecież jestem gotową — pójść za tobą, dokąd mnie kolwiek powiedziesz! Moje własne serce sprzysięgło się na mnie, onoto, nie twoje słowa, zachwiało mojém postanowieniem. Allah ukazał ciebie moim oczom, Allah zjednoczył nasze serca, niechże i losy nasze sprzęgą się nazawsze! Odtąd twoje życie będzie mojém!«

Te słowa idąc z czystego dziewiczego łona, brzmiały w uszach młodego Tatarzyna jak słodkie pienia z przebytków rajskich; żywiéj zatętniło mu serce, żywiéj uderzyły pulsa, na pół urywane jąkał słowa z przepełnionéj radością piersi.

Według umowy kochanków miał Ammalat nad wieczorem udać się z swoimi nukierami na polowanie sokołów, z nadejściem nocy zaś wrócić manowcami, podjechać pod mieszkanie Khana i unieść z sobą dziewicę, która się z okien swoich na dół spuścić miała. Oczekiwanie i niepewność, największe dla serc kochanków katusze! Leniwo szły obojgu godziny. Niecierpliwie spoglądał Ammalat w przestwor błękitu, jakby gniewném okiem nakazywał słońcu, aby co rychléj ustępowało z nieba. Biédny młodzieńcze, któż wié, czyli dziś wszystkie twoje nie zagasną nadzieje! Może podsłuchano gwałtowne serca twego bicie! Może powietrze najęto na špiega, na zdradę twoich zamiarów! —

Już dochodziła czwarta godzina popołudniu, zwykła obiadowa u Muzułmanów godzina. Sułtan Achmed był dnia tego posępny, zamyślony, nieraz z-pod krzaczystych brwi swoich cisnął tak podejrzliwém spojrzeniem, że Ammalat i Seltanetta z trwogi pobledli, ażali tajemnica ich ucieczki już nie jest wiadoma ojcu. Nieraz szyderczy wyraz wypełznął na usta sułtana, i zniknął w gorączkowym rumieńcu gniewu. Pytania jego były dwuznaczne, uszczypliwe. Żal przepełniał serce Seltanetty, a niepokój bił o pierś jéj kochanka. — Gdy po obiedzie odbyły się zwykłe u Muzułmanów obrzędy rąk umywania, Achmed wziął z sobą Ammalata na podwórze, gdzie już nukierowie z osiodłanémi czekali końmi.

»Mam młode, do łowu sposobione sokoły,« ozwał się Achmed, »radbym puścił je do lotu dla próby, ty zapewne zechcesz mi towarzyszyć?« Ammalat Beg musiał w tę zabawę przyzwolić.

Khan jechał w milczeniu obok Bega, niosąc na ramieniu sokoła. Po drugiéj stronie wsi ujrzeli obadwaj starego Awarczyka, który się dźwigał na stromą, w prostéj prawie linii, pionową skałę, szczebluząc dwoma w żelazo kutémi kijami, które wpiérał w skaliste szczeliny.

»Spojrzyjno na tego starca,« przerwał Achmed milczenie, »widzisz tam u jego pasa wiszącą czapkę ze zbożem, onto z niebezpieczeństwem życia szuka na nagich skalach choćby piędzi ziemi, aby jéj tę garść ziarn, w odpłat powierzył. Ojczyzna jego jest ubogą, ale czemuż jego dusza z nią się zrosła? Czemuż jest tak drogą, tak świętą jego sercu? Powiédz mu, niech swoje nagie skały zamienia za wasze żyżne równiny, a on ci rzecze: »Tu jestem wolny, tu nie schylam głowy przed nikim, tu góry bronią piersiami swémi mojéj wolności!« A gdyby zeszedł z gór swoich — Rosyjanie skuliby mu wolne jego ręce... ale do kogoż ja tu mówię, wszak ty jesteś niewolnikiem Rosyjan!«

»Wiesz dobrze sułtanie, że jestem ich szlachetności ale nie ich względów jeńcem. Nie widzisz we mnie niewolnika, ale ich spaniałomyślności zwolenca.«

»Dziedzic Shamkhalatu, wolny władca, służy za połysne szlify rosyjskie! Służy u wrogów swoich naddziadów!«

»Achmedzie, poskrom twoje popędliwe słowa, przyjaźń, jestto święte ogniwo ludzkości, jestto złoty pieniądz, wszędzie wartość mający!«

»Nié masz świętego ogniwa między nami a niewiernymi. Koran nakazuje wytępiać ich przemocą lub zdradą, niszczyć ich majątki, na żér sępów rozrzucać ich ciała!«

»Tak okrótném zdaniem nie ruszajmy w grobie Mahometa; czemuż mamy straszyć innych urojoném widmem, w które sami nie wierzymy. Ty nie jesteś Mollah, a ja nie jestem Fakirem. Ja znam tylko powinności prawego człowieka.«

»Życzę ci z całéj duszy, abyś te piękne zasady częściéj w sercu niż w uściech miewał.« Na te słowa z oznaczeniem i przyciskiem wymówione, rzekł po chwili namysłu: »Po raz ostatni niech mi będzie wolno zapytać się: czy usłuchasz rady przyjaciela i zostaniesz z nami?«

»Dałem przyrzeczenie, że powrócę do Derbendu.«

»I chcesz twego słowa dotrzymać?«

»Chcę — bo muszę.«

»Odjeżdżaj więc natychmiast. Nie gram w obłudę i pochlébstwo. Sługa rosyjski nie będzie nigdy moim zięciem. Łudziłem się wprawdzie czas niejaki tą myślą: że w tobie syna znajdę, ale zawiodłem się boleśnie, niewola rosyjska przeistoczyła twoję duszę bohatérską, w duszę służalczą. Jeszcze raz powtarzam, że służalec rosyjski, nie będzie nigdy moim zięciem.«

»Achmedzie...«

»Dozwól mi skończyć. Twój nagły powrót i oznaki twojéj miłości, objawiły twoje uczucie. W całéj okolicy mają cię wszyscy za narzeczonego Seltanetty. Ale teraz rwą się ogniwa, niechže będzie koniec wszelkim pogłoskom. Odježdžaj więc spieszno, odježdžaj natychmiast. Rozstajemy się jako przyjaciele, ale wszelkie odtąd ustają między nami stosunki. Tyś polubił połysne jarzmo, a myśmy dzieci swobody. Oby cię Ałłah oświecił, obyś jego natchnieniem nawrócony, powitał znowu moje progi, godzien był mojéj przyjaźni i miłości Seltanetty! A teraz bywaj zdrów. Jedź!«

To rzekłszy, poderwał cuglem łeb konia i pognał czwałem ku towarzyszom swoim, którzy się w tyle byli pozostali.

Z zmierchem udał się Ammalat pod okna swojéj kochanki, czekał długo, wyglądał niecierpliwie — ale, Seltanetta nie ukazała się oczom jego!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POZOSTAŃ Z NAMI!

NA CZEŚĆ

KAROLA LIPIŃSKIEGO.

Pozostań z nami w rodzimej ziemicy
I wróć nam życie, coś nam dał za młodu!
My lata na Cię czekali w tęsknicy,
Mistrzu muzyki, ozdobo narodu!

Ziomku nasz, chlubo, muzyki — szatanie,
Czy się dla tegoś pośród nas pojawił
Byś nową ranę zadał staréj ranie,
Byś nas jak ojczym w sieroctwie zostawił!

O, wszak to ziemia, co życie Ci dała,
O, wszak to bracia, co w sercach Cię noszą;
Patrz, twa kraina Tobą zagadała,
O, patrz, lic tyle łzy uniesień roszą!

O, zostań z nami! — my skarbów nie mamy,
Lecz mamy serca, co za wszystko staną,
O, zostań z nami, my Ci serca damy!
O, zostań z naszą ziemią ukochaną!

My Cię serc naszych opaszemy wieńcem,
Ty nas skołysuj chwilowo w dumanie,
Czaruj jak pierwyś czarował młodzieńcem,
Czaruj, ach czaruj muzyki szatanie!...

Héj ramię w ramię, hej serce do serca,
Naszego grajka opaszmy dokoła,
Musi pozostać błogi dusz morderca,
Z nami pozostać, bo kraj cały woła.

Ty się nanowo zbratasz z nami bracie,
Widzisz, że niesiem' serc czystych ofiarę,
Zamieszkaj wieszczu znów w rodzinnéj chacie,
Na co Ci w świecie gonić obcą marę!

Pozostań z nami, bo zwołamy Tatry
I tak Cię silnie w objęcie wezmiemy,
Że tę wieść w Drezno Karpat wniosą wiatry:
Iż Cię już wiecéj od nas nie puściemy.

H. S.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 3. i obejmuje: 1) Uwagi Antoniego Mysłowskiego nad handlem zbożowym z Galicii do Odessy, i nad zaprowadzeniem żeglugi parowej na Dniestrze (dokończenie). 2) O rezultacie okopywanych i nieokopywanych kartofli. 3) Oszczędny sposób karmienia koni. 4) Przepis: jak len do przędzenia przyrządzić. 5) O jabłkach tyrolskich. 6) Uwagi nad wzmianką o winnicach w ks. Poznańskiém istniejących. 7) O deflagmatorze do czyszczenia wódki, wynalezionym przez Dra. L. Galla. 8) Czyszczenie sukien. 9) Straszydło na wróble. 10) Jakim sposobem można najlepiéj udoskonalić nasienia zbożowe? 11) O oczkowaniu (okulizowaniu) winnéj macicy.

Dziennika mód paryskich, pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Nr. 2. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Most do niéj (dokończenie). 2) Powój. 3) Koncert Lipińskiego. 4) Album na dochód pogorzelców galicyjskich. 5) Uwiadomienie.

Wyszło właśnie: *Album na korzyść pogorzelców, wydane przez Józefa Dunina - Borkowskiego. Lwów* 1844 (drukowane u J. P. Sollingera w Wiedniu) w 8ce str. 361. To ważne i treściwe dzieło, którego wyjście długa choroba i nieodżałowana śmierć zaszczytnie znanego hr. Józefa Dunina-Borkowskiego opoźniły, zawiéra następujące przedmioty. *Prozą:* Augusta Bielowskiego: Rzeszów i jego okolice; Walentego Chłędowskiego: Osioł, rys historyczno-psychologiczny; Leszka Dunina-Borkowskiego: Gdyby; tegoż: Posłuszni; Jozefa Dzierzkowskiego: Bale na wsi (powieść); tegoż: Leśniczy; tegoż: Jutro (powieść); Adama Gorczyńskiego: Pamiętnik Zenona; Żegoty Paulego: Zamek odrzykoński; Stanisława Przyłęckiego: Opisy znakomitszych miejsc w obwodzie tarnopolskim w dzisiejszéj Galicyi (Tarnopol, Mikuliúce, Trembowla, Janów, Zbaraż, Grzymałów, Skałat, Wiśniowczyk, Strusow, Baworów, Mogielnica, Zarubińce); Apol. Tomkowicza: Słowo o księstwach oświecimskiém i zatorskiém. — *Poezyja*: Walentego Chłędowskiego: Szkoła życia: Józefa Dunina-Borkowskiego: Kobieta; tegoż: Prośba; tegoż: Gdy moje oko światłem nie błyśnie; Leszka Dunina-Borkowskiego: Sonety; Talii Dzieduszyckiéj: Tęsknota; Alexandra Fredry: Złamanie wiary (ballada); Adama Gorczyńskiego: Sen ksieni dobroczynności; Dominika Magnuszewskiego: Dwoje piastunek; tegoż: Dramat w naturze w trzech obrazach; tegoż: Do sióstr moich; Jana Kantego Podoleckiego: Piast (legenda); tegoż: Pomnik w Hodowie; tegoż: Jadwiga (obrazek); tegoż: Krystyn Szykowski. — Dzieło to kończy dodatek obejmujący popiersie wydawcy, ryte na stali (kosztem hr. Leszka Dunina-Borkowskiego); Sprawozdanie przez Leszka Dunina-Borkowskiego; Żywot wydawcy, skréślony przez A. Bielowskiego, i wiérsz Leszka Dunina-Borkowskiego pod napisem: Jego cieniom; wreszcie lista prenumeratorów.

Śmierć margrabiego Pozy. Któż nie zna tego bohatéra, który w dziele nieśmiertelnego Szyllera: Don Karlos, tak wzniosłą odgrywa rolę? Wielu dotąd mniemało, że ten szlachetny charakter jest utworem fantazyi, ale nie osobą historyczną. Nie wszystkim także może będzie znajomą prawdziwa acz nikła przyczyna, dla któréj król Filip tego dzielnego męża tak zawzięta ścigał mściwością. — W Madrycie obchodzono turnieje z całą okazałością hiszpańskiego dworu. Według zwyczaju tej rycerskiéj zabawy obiérał sobie każden rycerz damę, dla któréj chciał łamać kopiję i któréj barwę nosił wprzód publicznie przed popisami. W przedjutrze turniejów znajdował się poważny Poza obok królowéj

Elżbiety, która żądała od niego, aby jéj wszystkie wymienił damy mające już swoich rycérzy. Gdy to uczynił, okazało się, że wszystkie dostojeństwem lub pięknością znamienite damy już swoje barwy porozdawały, i że tylko sama królowa nie miała żadnego rycérza. Że się tak stało, to było rzeczą naturalną, bo tylko wuj królowéj Don Juan, lub jéj pasierb Don Carlos, mogli rościć sobie prawo do tego wysokiego zaszczytu; obaj jednakże nie śmieli wstąpić w szranki, obawiali się bowiem, że zdradzą uczucia swoje. Czarująca Elżbieta uskarżała się w żartach przed margrabią na to ubliżenie, i dodała z uśmiéchającém się przymileniem, że nie myśli bynajmniéj bez rycérza pozostać; piérwéj jednak, nim mu wymieni swego rycérza, chce się dowiedzieć przyczyny, dla czego właśnie ona sama tylko została bez kawalera. Na to spokojnie i poważnie odrzekł margrabia: »Najjaśniejsza Pani, niemałby można z tego wnosić, że nasi rycérze więcéj piękności przyznają damom naszym niż Waszéj królewskiéj Mości.« Ta niegrzeczna, lubo z charakterem Pozy całkiem zgodna odpowiedź, na koszt niezgrabności margrabiego, powszechny w całym gronie gości śmiéch obudziła. Ale królowa tém bynajmniéj nie zmiészana, rzekła również z uśmiéchem i powagą: »Dobrze panie margrabio, aby cię za uchybienie należnych mi względów ukarać, rozkazuję, abyś jutro był moim rycérzem; niech cię spotka szyderstwo, żeś pod barwą najbrzydszéj łamał twoję kopiję.« Chociaż to się w obec najznakomitszych dam i panów stało, ponury jednak Filip dał podejrzeniu przystęp do swojego serca. Sądził on, że królowa umyślnie skierowała rozmowę na tę drogę, aby margrabiemu Poza, jéj, jak się on domniémywał, tajemnemu kochankowi nadarzyć sposobność wystąpienia przed światem w charakterze rycérza królowéj, i za razem jego niezaprzeczoném męztwem ozdobić skroń swoję laurem zwycięzkim. Bezzasadne podejrzenie króla wzrosło jeszcze bardziéj, gdy Poza wstąpił nazajutrz w szranki z bijącą od światła tarczą, na któréj słońce z złotym w około napisem: »Ja rozpłomieniam każde serce!« jaśniało w całym blasku południa. Tém pochlébném godłem chciał margrabia wynagrodzić swoje nieprzyzwoite znalezienie się dnia przeszłego. Na nieszczęście odniósł margrabia w dwóch piérwszych walkach zwycięztwo. Chociaż Poza tak w wojnie jak i przy igrzyskach dał tylekrotne dowody swojéj odwagi, siły i zręczności, przecież nieposkromiona podejrzliwość Filipa przypisywała to zwycięztwo jego miłości do królowéj, i téj chęci okazania się przed boginią swego serca w całym blasku rycérskiéj waleczności. Aby nie wyjawić przed publicznością téj zaciekłéj zazdrości, która w jego piersi kipiała, i aby zakończyć nienawistne turnieje, udał, że nagle słabość go owładła. Udawszy się do swoich najskrytszych komnat, nie ukazywał się przez kilka dni nikomu, wyjąwszy kilku swoim poufnym. Wkrótce potém zamordowano margrabiego Poza na ulicy, gdy w nocy z dworu do domu wracał.

Cornelius wymalował obraz: Chrystus w przysionku piekła, za który hrabia Raczyński zapłacił 6000 talarów. Sąd znawców głosi, że hrabia Raczyński za drogo ten obraz nabył, i że ten ani w pomyśle ani w wykonaniu nie odpowiada ścisłym zasadom sztuki.

Scena przed sądem policyi w Paryżu. I w metropoli oświaty w Paryżu znajdziesz ludzi, którzy nic wiedzą nic o postępach cywilizacyi, którzy żyją spokojnie w swojém ukryciu, jak więźniowie po swoich celach. Nie troszcząc się o filantropiczne zabiegi, według dawnego zwyczaju mają zachowanie się spokojne za piérwszy obowiązek obywatela. Gdyby wszyscy Francuzi byli takimi, mógłby Ludwik Filip spokojnie zasypiać a nie biédzić się po nocach bezsennych o przyszłość swojéj dynastyi. Wzorem takich spokojnych ludzi z starych czasów jest Larose, łatacz obuwia w Paryżu, a razem i oddźwierny pewnego hotelu, mający 62 lat. Nie troszcze on się o świat, o kraj, o policyję, ale ta ostatnia troszcze się o niego, jak to następujący wypadek dowodzi: »W nocy 19. października zostawiłeś wpan drzwi od bramy otworem?« zapytał prezydent po zwykłych formalnościach. Oddźwierny Larose odkrząknąwszy rzekł: »Ha, jużto taki mój zwyczaj, ja mam zaufanie do złodziei, chciałem powiedzieć: nie boję się złodziei, chociaż drzwi otworem stoją.« »Ale nie każden ma to samo zaufanie co wpan, przez opieszałość wpana mógłby cały dom być zrabowanym.« — »Jeźli pan tak sądzisz, to będę odtąd drzwi zamykać, i na tém koniec.« — »Ale nie, na tém nie jest koniec, wpan powinieneś znać ustawy policyjne.« — »Mój panie,« rzekł oddźwierny z godnością, »nie miałem dotąd nic z policyją do czynienia.« Na to odrzekł mu prezydent: »Wpan zasłużyłeś na karę, pojmujesz zapewne, że aby mieszkańcy domu spokojnie spać mogli, drzwi zamknąć należy.« — »Ja mam to pojąć? przeciwnie, ja nigdy nie śpię spokojniéj, jak gdy drzwi są otwarte, bo wtedy nie bębnią mi co chwila we drzwi.« — »Wymówka ta nie usprawiedliwia wpana.« — »Nie? ha, więc proszę posłuchać. Byłem owego wieczora w złym humorze i miałem potemu przyczynę. W tym domu mieszka malarz pokojów, który mię jeszcze w grób wpędzi! Wyobraźcie sobie panowie młodego, bo zaledwie 20-letniego, jak koń zdrowego człowieka, i ten nie chce mi nigdy zapłacić mojéj należytości za to, że dopiéro po północy do domu przychodzi. Owejże nocy dałem mu pukać tak długo, że aż mu ręce pomdlały, i aż dopokąd mi 1, 2, 3, a nawet 5 franków nie obiecał. »Wsuń mi wpan dołem po-pod bramę przyrzeczone 5 franków!« zawołałem przez drzwi do niego, »a dopiéro otworzę. A jeźli nie, to będziesz do sądnego dnia pukał...« On wsuwa mi pieniądze, a ja jako mąż honoru, otwiéram bramę. Mój pan malarz skrzywił twarz.... prawda, że 5 franków, to nielada zapłata.« — »Do rzeczy!« — »Zaraz. Zaledwie wszedł do sieni, zawołał: Tam do nieszczęścia, dobywając pieniędzy, upuściłem napoleondora; poświéć mi wpan, abym go znalazł!« — Ja biorę świecę, idę w dobréj wierze przodem na ulicę, schylam się szukać, aż tu nagle drzwi trzaskiem zamykają się za mną! Pukam, stukam, całą pięścią biję, nikt się nie odzywa, dopiero w 10 minut później odzywa się przeklęty malarz: »Ojcze Larose, jam także nie psem! Proszę wsunąć 5 franków tamtędy, którędy wpan wiesz, a ja będę tak grzeczny, że mu natychmiast otworzę. Cóż miałem stojąc nagi prawie na ulicy robić, wsuwam mu po-pod drzwi te 5 franków, i od tejto chwili, abym spał spokojnie, zostawiam drzwi otworem, za co mię teraz jeszcze niepokoi policyja, a któraby właśnie nad spokojnością wszystkich czuwać powinna.« — Mimo prostoduszność oddźwiernego skazano go jednak na karę dwóch franków.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.